

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rs. 7 kop. —
 Półrocznie 3 „ 50
 Kwartalnie 1 „ 75
 Miesięcznie — „ 60

Za odnośzenie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
 meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincji
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
 Półrocznie 4 „ 50
 Kwartalnie 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld.—18 m.
 Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcyi po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
 BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
 zeszyt dzieł naukowych.

PREŚĆ: Wybór Bismarcka, przez P.
 Współzawodnictwo i współdziałanie, przez J. K. Po-
 tockiego.
 Inny świat, czyli czwarty wymiar przestrzeni, przez F.
 Jablczyńskiego.
 Beletrystyka popularna, przez R. Skrzyckiego.
 Z sali odczytów, przez d-ra W. Szczawińskiego.
 Neo-Idealizm, przez Sew. Stera.
 Głosy: Sprawa nadużyć w Muzeum przemysłowem.—Roz-
 ruchy emigrantów w Brazylii, — „Gazeta Warszawska“ o ko-
 lonizacji Syberyi.—Przytulki dla zwierząt.
 Korespondencyja: z Kamińskiego, przez B. N.
 Przegląd społeczny: Z Opatowskiego, Łódź, Z Łomżyń-
 skiego, Ozorków, Wilno, Kowno, Mińsk gub., Żytomierz, Ki-
 jów, Petersburg.
 Przegląd polityczny.
 Kronika literacka.
 Kronika powszechna.
 Odpowiedzi od redakcyi
 Ogłoszenia.
 Odeinek: Angielka, kartka z podróży, przez C. Walewską.
 (Ciąg dalszy).
 W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Gliń-
 skiego. (Ciąg dalszy).

WYBÓR BISMARCKA.

W ubiegłym tygodniu Bismarck wystąpił jako zwyczajny kandydat na posła do parlamentu w wyborczym okręgu Geestemünde. Rezultatu wyborów z niecierpliwością oczekiwano w Berlinie, gdzie wstąpieniu do parlamentu byłego kanclerza wszystkie stronnictwa, a nawet sfery rządzące przypisują doniosłe znaczenie. Telegraf co godzina niemal przynosił szczegółowy rachunek głosów. Okazało się wreszcie, że Bismarck, jakkolwiek miał najwięcej głosów, ostatecznie wybrany nie został i musi poddać się powtór-
 nemu głosowaniu.

Z początku wszystkie prawie stronnictwa postanowiły popierać jego kandydaturę z tego względu, że obecność w parlamencie polityka takiej miary i takiego wpływu, jak Bismarck, jest bądź co bądź pożądaną. Tylko demokraci socyjalni odrazu przeciwstawili mu swego kandydata, którego zwycięstwo w danym razie byłoby wielkim tryumfem dla stronnictwa. Wkrótce jednak postępowcy i separatyści (welfy), folgując dawnym urazom, wystąpili również z kandydaturami. Głosy wyborców rozstrzeliły się: Bismarck otrzymał 7,557 głosów, socyjalista Schmalfeld—3,928, welf Platte—3,343 i wolnomyślny Adlow—2,619. Przy powtórnych wyborach walka toczyć się będzie między Bismarckiem i Schmalfeldem, a jeżeli za tym

ostatnim dadzą głosy wolnomyślni i separatyści, może on odnieść zwycięstwo.

Z powodu takiego rezultatu wyborów wszystkie chorągiewki dziennikarskie, szybko zwracające się w stronę wschodzącego, odwróciły się tyłem do zachodzącego słońca. Zdanie, że Bismarck stracił w Niemczech popularność, powtarza się w różnych wariantach. Tymczasem wybór w Geestemünde właściwie niczego nie dowodzi. Niema i nie było nigdy takiego popularnego męża stanu, któryby w każdym okręgu mógł być wybranym. Nawet w dniach największej potęgi i powszechnego uznania—w niektórych okręgach Bismarck na pewno poniósłby porażkę. Zresztą, przy poprzednich wyborach kandydaci welfów i socyjalistów mieli więcej głosów, niż teraz, okazuje się więc, że wpływ osobistości byłego kanclerza nawet na przedstawicieli tak wyraźnych i skrajnych stronnictw oddziałał.

W deklaracji przed-wyborczej Bismarck dziwi się „niesłychanemu” żądaniu, ażeby wyrzekł się działalności politycznej, a nawet rubaszenie nazywa żądanie takie „głupiem”. Jako człowiek, obeznany lepiej niż kto inny ze sprawami państwowymi, ma nietylko prawo, ale i obowiązek wypowiadać swoje zdanie. Jako twórca Cesarstwa i potęgi Niemiec pragnie bronić swego dzieła od zachcianek „młodocianych reformatorów”. Niepodobna nie uznać słuszności tej argumentacji.

Quia non movere—woła groźnie eks-kanclerz, zapowiadając, że staje w obronie istniejącego porządku, i pouczając Niemców, że wyznawanie zasad zachowawczych nie oznacza bynajmniej bezwzględnej uległości polityce rządowej, a tymbardziej ministeryjalnej. Zape-
 wne, w dotychczasowym postępowaniu Bismarcka po dymisji sporo jest objawów starczej gderliwości, zgryźliwego dąsania się i obrażonej dumy, ale ten upór, ta chęć walki, ta nadzieja odzyskania jeżeli nie urzędowego stanowiska, to wpływu politycznego, świadczą o sile indywidualnej żelaznego księcia i o pewności, że przedstawia on jeszcze potężną siłę zbiorową, która usiłowania jego popierać będzie. Łatwo to stawić za przykład skromność Cyncynata i doradzać spokojną wegetację w ustronnym zaciszu. Tak przecie postępuje każdy porządny filister po wycofaniu się z interesów. Ale człowiek, który czuje w sobie siłę, który wierzy, że dokonał wielkich rzeczy, który trząsł niemal całym światem, nie może siedzieć spokojnie i patrzeć, jak rozpada się jego dzieło, owoc jego twórczości, przedmiot jego ambicyi. Nie

mógł roku wytrzymać Napoleon w zaszczytnym wygnaniu na Elbie,—można też było przewidzieć, że nie wysiedzi cicho Bismarck w Friedrichsruhe.

Można nie być wcale wielbicielem jego działalności, można ją bardzo surowo sądzić, można potępiać człowieka i nienawidzić polityka—a nam bardziej niż komu innemu to wolno; ale nie można dziwić się temu, że mąż stanu, który w każdym razie zajmie w historii Niemiec i Europy wybitne miejsce, czując się jeszcze dosyć silnym, nie chce zażywać spoczynku i żywi ambycję, zupełnie usadnioną, zajęcia wybitnego stanowiska w walce politycznej, jaka się obecnie toczy, tymbardziej, że chodzi tu o obronę dzieła całego jego życia.

Nie tylko więc śmiesznie, ale po prostu wstrętnie wyglądają podrygi naszych warszawskich polityków, usiłujących kopnąć znie-
 dołęźniałego lwa i nazywających Bismarcka zuchwałym burzycielem, a nawet „buntownikiem”. W Niemczech napaści tego rodzaju są zupełnie zrozumiałe, zwłaszcza w podnieceniu walką polityczną. Ale u nas są one śmiesznym kiwaniem palcem w bucie, albo ulicznikowskim wygrażaniem, bo przecie Bismarck wiedzieć nawet o tem nie będzie...

P.

Współzawodnictwo i współdziałanie.

Herbert Spencer From freedom to bondage. *David Ritchie* Darwinism and politics. *Laurence Gronlund* Our Destiny.

III.

Ponieważ subordynacja (podporządkowanie) jednych jednostek względem innych jest jedynym stosunkiem, jaki łączyć może członków tworzących jakąś społeczność, ponieważ nawet koordynacja (uwspółrzednienie) jest tylko poszczególnym wypadkiem subordynacji, jest subordynacją wzajemną, przeto utrzymywać, że ideałem społeczeństwa jest takie, którego członkowie nie podlegają żadnej subordynacji, znaczy to samo, co twierdzić, że ideałem społeczeństwa jest aglomerat, trwający na zasadach antyspołecznych; utrzymywać, że subordynacja jednostek jest pozbawieniem ich wolności, jest ich unieszczęśliwieniem, znaczy to znajdować, że wolnemi czuć się one mogą li tylko w warunkach, uniemożliwiających życie wspólne, że szczęśliwymi bywają jedynie w okolicznościach życia dzikiego.

Zupełnie inaczej przedstawi się nam sprawa, gdy, zamiast wyrazu subordynacja, użyjemy terminu *przymus*: natężenie tego ostatniego zawsze pozostawać będzie w stosunku

odwrotnym do szczęśliwości jednostek oraz do możności wolnego i szybkiego rozwoju całego społeczeństwa. Ale przymus nie jest bynajmniej synonimem subordynacji, jest on tylko środkiem podporządkowania mimowolnego, to zaś możliwym i niezbędnym okazuje się tem więcej, im życie społeczne bliższym jest dziekięgo życia. O szczęśliwości przeto jednostek, o sprawności ich działań zbiorowych, a tem samem—o szybkości rozwoju całego aglomeratu nie możemy jeszcze wnosić z samego tylko faktu ich subordynacji, gdyż fakt ten cechuje wszelkie — zarówno rozwinięte, jak i pierwotne, zarówno szczęśliwe, jak i dręczące, zarówno wolne, jak i niewolnicze życie społeczne, którego jest najpierwszym i nieodłącznym współobjawem. Wnioskować o tem moglibyśmy dopiero wtedy, gdybyśmy się dowiedzieli, czy i o ile faktowi subordynacji towarzyszy nadto fakt przymusu.

O dobrowolności przeto współdziałania stanowi nie brak subordynacji, którego sobie w normalnem życiu społecznem nawet wyobrazić nie możemy, ale brak przymusu. O sprawności dobrowolnych działań zbiorowych orzeka nie brak reglamentacji, który byłby sprawdzeniem społecznego życia na stopień bezpośrednich działań i oddziaływań życia dzikiego, ale brak uznawania potrzeby reglamentacji ze strony osobników kierowanych, oraz znajomości jej zasad — ze strony kierujących jednostek.

Przymus nie ukaże się zgoła—ani jako środek, ani jako stan podmiotowy, jeśli posłuszeństwo będzie dobrowolnem. Posłuszeństwo dobrowolnem nazwiemy wówczas, gdy nieusłuchanie sprawi nam przykrość—nie ze względu na swoje następstwa zewnętrzne, lecz ze względu na samą treść swoją.

Mówiąc teoretycznie, posłuszeństwo dobrowolne możliwym staje się wówczas, gdy jest ono świadomem albo bezwiednem uleganiem pewnym nałogom lub popędom, *wyrobionym w sferze życia społecznego*, a mającym na celu bądź utrzymanie (nałogi bezwiedne), bądź dalszy rozwój (świadome popędy) tegoż życia. Jednostka, której się w takim razie ulegnie, jest jakgdyby tylko przedstawicielką, uzmysłowieniem owych popędów, a w ten sposób subordynacja traci swój charakter osobowy i staje się tem, co u Spencera jest synonimem wolności, staje się uleganiem nieosobowemu przymusowi przyrody; tylko pojmowanie przyrody musi być rozszerzone tutaj: do sił jej nieorganicznych oraz organicznych dodajemy jeszcze siły nad-organiczne, t. j. społeczne. W za-

kresie życia praktycznego dobrowolne posłuszeństwo możliwym staje się wtedy, gdy istnieje wszelka łatwość zamiany jednego stosunku subordynacji na inny, t. j. kiedy żadne zmiany zewnętrzne, grożące potrzebom ducha lub ciała rokoszan, nie ukazują się jako bezpośrednie skutki nieposłuszeństwa.

Posłuszeństwo mimowolne zjawia się zazwyczaj jako skutek ulegania popędom albo instynktom, których początek sięga w przeszłość o wiele dalszą, niżli początek popędów oraz instynktów społecznych; jest to uleganie popędom i nałogom organicznym, takim, jak głód, pragnienie, obawa chłodu i t. p., pozostaje ono natomiast w sprzeczności z nałogami nad-organicznymi, t. j. społecznymi.

Uległość niewolnika, który z rozkoszą pozwala się zabić na grobie ukochanego pana, jest posłuszeństwem dobrowolnem, jest uleganiem li tylko instynktowi, wyrobionemu przez życie społeczne. Ale posłuszeństwo nawet wysoko płatnego oficjalisty względem pryncypała, wynikające z obawy stracenia miejsca, jest posłuszeństwem przymusowem, zgodnem li tylko z jego popędami organicznymi, ale bynajmniej niezgodnem z jego nadorganicznymi t. j. społecznymi popędami. Innemi słowy: uleganie przymusowi nieosobowemu przyrody odbywa się tutaj o tyle tylko, o ile sprawa dotyczy zakresu popędów przed-społecznych, t. j. organicznych; o ile zaś dotyczy ona społecznych popędów, uleganie odbywa się *wbrew* ich działaniu, zaś gwoli tylko osobowemu przymusowi chlebobawcy, który w danym wypadku nie jest uosobieniem społecznych nałogów i pożądań pracownika. Na szczeblach wyższych mimowolne posłuszeństwo może być również uleganiem któremukolwiek z elementarnych, prostszych instynktów społecznych, np. obawie nagany. W takim wypadku okazuje się uległość nie względem nieosobowego przymusu wyższych popędów społecznych, ale względem *osób*, tworzących opinię: pod ich nieobecność posłuszeństwo nie byłoby się ukazało. Tak więc przymus jest tutaj osobowym.

Słowem, dobrowolne posłuszeństwo jest zawsze dążeniem do *osiągnięcia rozkoszy* mimowolne zaś jest dążeniem do *wyeliminowania przykrości*. Dobrowolne jest uleganiem nieosobowemu przymusowi przyrody w dziedzinie tak organicznych jak i nad-organicznych instynktów; mimowolne jest uleganiem przymusowi przyrody w pierwszej, zaś osobowemu przymusowi—w drugiej z tych dziedzin.

Uprzedzić tu należy dwa możliwe zarzuty. Naprzód, powiedzą nam, że często, ulegając li

tylko naszym instynktom społecznym—spełniając akt posłuszeństwa, którego niespełnienie sprawiłoby nam wielką przykrość, nie ze względu na skutki, lecz ze względu na samą treść swoją—doznajemy jednak przykrego uczucia przymusu. Bywa tak wówczas, kiedy stosunek posłuszeństwa pozbawia nas możliwości zaspokojenia innych naszych popędów. Uczucie przymusu wiąże się tutaj li tylko z ową *niemożnością zaspokojenia potrzeb innych* i jedynie dzięki pewnej iluzji uczuć zespala się z samym aktem posłuszeństwa; co większa, w takim stanie rzeczy jedyną osłodą owej przykrej nieodzowności ulegania jest właśnie to, że jej ulegamy (zaspakajając w ten sposób pewien instynkt społeczny). Jako przykład, weźmy tu dobrowolne (t. j. podjęte nie ze względu na opinię i t. p.) czuwanie u łóżka chorego. Czynność ta pozbawiać nas może wielu rozkoszy, i zdaje nam się, iż odczuwamy jej przymusowość. Jest to złudzenie: jest ona w owej chwili jedynem naszym zadowoleniem, niespełnienie jej sprawiłoby nam wielką przykrość: uczucie przymusu dotyczy tu właściwie owej nieodzowności powstrzymania się od rozkoszy innych.

Zarzut drugi mógłby przybrać formę następującą: Skoro posłuszeństwo dobrowolne jednostek względem innych jednostek jest właściwie uleganiem nieosobowemu przymusowi przyrodzonych popędów organicznych i nad-organicznych, a przeto jest uleganiem prawom przyrody, więc ideałem społeczności będzie taka, której wszyscy członkowie pozostaną raz na zawsze w stałym stosunku subordynacji, zaś nieposłuszeństwo zawsze być musi objawem dla społeczeństwa niepożądanym. Odpowiem na to, że dla *danego* typu społeczności nieposłuszeństwo, jako czynnik przeobrażający, jest istotnie zawsze napażdanem. Dwojakiego rodzaju bywa ten objaw: albo jest on rokoszem jednostki czy jednostek *jeszcze* nieprzystosowanych do wymagań społeczeństwa danego typu, albo też jest buntem jednostek *już* przewidujących i odczuwających typ wyższy...

Nieposłuszeństwo tego drugiego rodzaju jest właściwie *uleganiem nieosobowemu przymusowi wyższych praw przyrody życia społecznego*. a jako takie, jest czynnikiem postępu. Oba rodzaje nieposłuszeństwa zniknąć by mogły jedynie wówczas, gdyby społeczność, osiągnąwszy najwyższego, idealnego szczebla rozwoju, pozostawała na nim dość długo — aż do chwili popadnięcia w stan zupełnego automatyzmu. Przed tym okresem nieposłuszeństwo rodzaju

ANGIELKA

KARTKA Z PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

Skończywszy lat dwadzieścia, Jenny Price zamknęła w ogniotrwałej kasie wszystkie klejnoty rodzinne; rozdarowała służbie różnokolorowe materyje i atłasy, które dotąd nosiła. W gładkiej, białej sukni, bez żadnych ozdób, postanowiła odtąd ukazywać się ludziom. Ślub ten, zrobiony wśród otaczającego ją zgiełku i wiru świata, opłakała gorzkimi łzami; od dzieciństwa bowiem przywykła do lubowania się blaskiem drogich kamieni i różnobarwnością koronek, jedwabiu.

Miała lat dwadzieścia, gdy pchana żądzą poznania nowych krajów, innych ludzi, odmiennego, aniżeli w „at home” porządku społecznego, namówiła ojca, aby puścić się z nią w kilkumiesięczną podróż. W ciągu zimy mister Price wraz z córką zwiedzał główniejsze miasta Środkowej Europy. Letni sezon postanowili spędzić na małej wysepce rybackiej, zgromadzającej rok rocznie tysiące cudzoziemców dla silnych fal, uderzających o jej brzegi.

Od pierwszego dnia pobytu nad morzem, Jenny zwróciła na siebie uwagę wszystkich

gładką białą suknią bez żadnej ozdoby, włosami, zaczesanemi płasko po obydwóch stronach czoła, wreszcie—czarnym koronkowym szalem, który zarzucała na głowę, wychodząc nad brzeg wieczorem. Nazywano ją „białą”, albo „żałobną damą”, mówiono o niej dużo, szukano w kurliście jej nazwiska.

Na pierwszym tańczącym wieczorku, w którym wzięła udział, dyrektor miejscowego zakładu kąpielowego przedstawił jej szereg młodzieży, dobijającej się o zaszczyt przetańczenia z nią walca, polki, kontredansa lub modnego rheinlaendera.

Dwóm pierwszym tancerzom tylko nie odmówiła; trzeciego, holendra o rudych faworytach, przeprosiła, wymawiając się od zaintonowanej świeżo polki-wiedenki zmęczeniem. Wówczas przystąpił do niej młody Niemiec, przedstawiony jej dwa dni temu przy table d'hôte podczas obiadu. Podając jej ramię, zaproponował przejście do sąsiedniej mniejszej sali, gdzie było spokojniej, chłodniej i nie męczyły wzroku migające dokoła pary tańczących.

Młody Niemiec o błękitnych oczach i wetherowskim wyrazie twarzy, pochodził z małego miasteczka pod Hallą, niedaleko Lipska. Od dwóch lat kształcił się na malarza w Monachium. Zamiłowany w sztuce, mówił o niej chętnie z tą egzaltacją, jaką daje rozpoczęty zaledwie wiek dwudziesty piąty, spora do-

za natchnienia i wielka wiara w przyszłość swego talentu.

Jenny nie malowała sama nigdy, przepadała jednak za pięknymi obrazami; znała dokładnie historję szkół w malarstwie, charakteryzowała umiejętnie talent każdego wybitniejszego nowoczesnego artysty.

Rozmowa na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości sztuki potoczyła się szybko. Młody Niemiec, mówiąc dobrze po angielsku, podtrzymywał wątek. Jenny komentowała każde zdanie towarzysza. Nigdy jeszcze słowa z taką łatwością nie płynęły jej na usta. Była podniecona. Oczy jej błyszczały. Chwytała w lot myśli młodego malarza; chwilami odgadywała je, nim zostały wypowiedziane. On, pochylony nad nią, ogarniał ją promieniejącym wzrokiem, który zdawał się mówić:

— Jesteś piękna! uwielbiam ciebie!

Grupa gości, kilka pań i kilku panów, zmęczonych tańcem, przechadzając się po małej bocznej sali i spoglądając na młodą parę, szeptali:

— Ci ludzie stworzeni dla siebie!

Malarz tego wieczora odprowadził Jenny i ojca jej do willi, w której mieszkali. Nazajutrz pierwszy powitał „białą damę” w chwili, gdy szła nad brzeg morza.

Odtąd towarzyszył jej ciągle. Czytywał głośno książki; rysował na kartkach jej al-

drugiego, jako objaw *ulegania* wyższemu prawom przyrody, będzie zawsze czynnikiem dodatnim. Po uchyleniu tych zarzutów zwróćmy uwagę na ważne bardzo praktyczne wywody, do jakich nas upoważnia rozbiór powyższy. Skoro posłuszeństwo dobrowolne jest takim uleganiem nieosobowemu przymusowi popędów społecznych, na które nie wpływa nieodzowność ulegania przymusowi organicznych popędów, tedy oczywiście się staje, że tem bardziej dobrowolną będzie subordynacja, tem większem poczucie wolności, tem bardziej plastycznymi stosunki jednostek,—im mniej o tych stosunkach wyrokować będą potrzeby przedspołeczne, t. j. organiczne. Tem łatwiej będzie zanalizować przyrodę danego stosunku subordynacji, tem łatwiej będzie można modyfikować go i zmieniać, tem wyraźniej wskazać społeczne źródło i potrzebę danego aktu posłuszeństwa, tem łatwiej usunąć subordynację atawistyczną albo szczątkową,—im mniej do sprawy zamieszaniem będą czynniki zakłócające działanie instynktów społecznych, t. j. popędy organiczne. Tak samo, jak procesy myślenia mogą się odbywać i organizować tem łatwiej, im lepiej są już uorganizowane procesy życia roślinnego, tak też sprawy ustosunkowań społecznych rozwijać się mogą tem swobodniej, im lepiej już zorganizowanymi zostały sprawy roślinne społecznego aglomeratu. Ale organizacja taka każe domyślać się znajomości i uwzględniania nietylko bezpośrednich stosunków jednostek, lecz nadto każe ona domyślać się znajomości i uwzględniania sfer stosunków pośrednich; każe się domyślać przewidywania nietylko bezpośrednich następstw czynności danej jednostki lub jednostek *wewnątrz* ich własnej sfery, ale również następstw pośrednich działania *poza* ich sferą własną, a wewnątrz sfer innych. Nakoniec, podobna znajomość i przewidywanie niemożliwymi są bez szerokiej reglamentacji nietylko stosunków jednostek, ale i stosunków grup jednostek pomiędzy sobą, bez reglamentacji uprzedzającej nietylko bezpośrednio skutki postępów, ale i skutki bardziej pośrednie i odległe—zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Reglamentacja taka pociąga za sobą podporządkowanie jednostek, mniej ze stosunkami obeznanymi, jednostkom obeznanym więcej; podporządkowanie zaś umożliwia kooperację — dobrowolną, jeśli podstawą jego jest posłuszeństwo względem przyrodzonych instynktów społecznych, zaś przymusową, jeśli wynika ono z ulegania przyrodzonym organicznym instynktom i na przekór społecznym.

Przypuszczać, że taka kooperacja dobrowolna może być samorzutnym wytworem autonomicznych działań jednostek, znaczy to utrzymywać, że: 1) wszystkie jednostki posiadają w stopniu jednakim znajomość wszelkich najdalszych i najbliższych stosunków społecznych, wszelkich bezpośrednich i pośrednich następstw swoich czynności w czasie i w przestrzeni,—oraz że, posiadając ją, wszystkie one zechcą i potrafią zastosować się do jej wymagań: przypuszczenie możliwe li tylko w stosunku do społeczności, stojącej na najwyższym szczeblu rozwojowym, na szczeblu idealnego automatyzmu, na szczeblu, w którego osiągnięcie nie możemy wierzyć dopóty, dopóki nie wykazemy możliwości jakiegoś ostatecznego kresu rozwoju, dopóki nie udowodnimy, iż sfera coraz nowych przystosowań społeczności do warunków otoczenia może być wyczerpaną. Dopóki w to nie wierzymy, dopóty przypuszczać, iż wzmiankowana wyżej dobrowolna kooperacja może być samorzutnym wytworem autonomicznych działań jednostek, znaczy to sądzić, że 2) społeczne obcowanie może odbywać się li tylko na podstawie dezintegracji społecznych działań, co jednakże jest takąż niemożliwością, jak integracja biologicznych procesów organizmu na podstawie dezintegracji poszczególnych czynności jego pierwiastków. Autonomia komórki (np. komórki zapładniającej) kończy się z chwilą, gdy wejdzie ona do organizmu; autonomia jednostki kończy się z chwilą, gdy wejdzie ona do społecznego aglomeratu, dalszemu jej trwaniu bowiem stają na zawadzie wymagania koordynacji i subordynacji społecznej, bez których aglomerat tak samo nie byłby społeczeństwem, jak gromada luźnych komórek, nie podlegających koordynacji i subordynacji biologicznej, nie byłaby organizmem. Utracie autonomii towarzyszyć może, albo też nie towarzyszyć, uczucie *przymusu*—odpowiednio do tego, czy w danej formie koordynacji społecznej znalazła jednostka zaspokojenie swoich społecznych, czy też tylko przedspołecznych (organicznych) popędów. Wynikające z koordynacji takiej albo z subordynacji *współdziałanie* może być dobrowolnym albo przymusowym—w zależności nie od samego stosunku subordynacji, ale w zależności od tego, czy jest on li tylko uleganiem nieosobowemu przymusowi przyrodzonych instynktów społecznych, czy też uleganiem jednostce nie będącej zgoła owych instynktów upostaciowaniem; czy jest uleganiem, mającym na celu uniknięcie jakiejś przykrości, czyli też uleganiem, które-

go cele zasadzają się na ściganiu rozkoszy; czy towarzyszy mu wszelka łatwość zamiany na stosunek inny bez poddawania się rygorowi następstw postronnych, czy też nie towarzyszy.

Tak więc, broniony przez Spencera system *laissez faire* yzmu jest skojarzeniem dwu sprzecznych ze sobą zasad: nakaz uwzględniania praw i potrzeb bliźniego jest tu sformułowaniem wymagań społecznej subordynacji; ale pozostawienie sądu o tych potrzebach i prawach li tylko samej jednostce, uzależnienie ich li tylko od samorzutnej, autonomicznej działalności jednostkowej jest wprowadzeniem do życia społecznego czynników rządzących zjawiskami dzikiego życia, jest pragnieniem oparcia sprawy integracji społecznej na podstawach dezintegracji. Zobaczmy rychło, czy i o ile praktyczne zastosowanie owego systemu uwydatni jego wadliwość zasadniczą, teoretyczną.

J. K. Potocki.

INNY ŚWIAT

czyli

czwarty wymiar przestrzeni

(z powodu książki A. T. Schofielda, Warszawa 1891.
Z angielskiego tłómaczył F. Werński.)

(Dokończenie).

Umieściwszy obie nasze ręce na płask między świecą a ścianą, otrzymamy dwa cienie prawej i lewej ręki, które będą dwiema płaskimi figurami, symetrycznymi względem siebie. O tej ich własności przekonać się bardzo łatwo: jakkolwiek będziemy przekreślali cienie, nigdy nie osiągniemy tego, aby jeden w zupełności pokrył drugi.

Wyobraźmy sobie, że te cienie są to istoty myślące, czujące. Wówczas systematyczność ich ciał będzie dla nich równie dziwnym zjawiskiem, równie niezgodnym z ich wyobrażeniami o płaszczyźnie (ich przestrzeni), równie domagającym się objaśnienia.

Dla nas jednak, istot trójwymiarowych, symetryja figur płaskich nie jest tak dziwną. Pozostawiając jedną z rąk w spokoju, obracamy drugą wzdłuż jej osi (t. j. przewracamy ją na drugą stronę). Zobaczmy, że cień na ścianie będzie się stopniowo zmniejszał, zwię-

bumu, białe mewy, wpatrzona w pianę fal, na brzeg wyrzucanych; zbierał dla niej muszle...

Razem podczas południowego słońca siedzieli pod płóciennym dachem namiotu, wpatrzni w zielonkawę masy wód, podpływające ku nim drobnymi języczkami; razem podczas odpływu lub przy zachodzącym słońcu błądzili po żółtych ławach piasku, mówiąc o sztuce i przeczytanych książkach, o drobniactwach wzajemnych upodobań, zbliżających ich ku sobie, wreszcie—o przeznaczeniu życia, w które wierzyli oboje...

— Czy on wie, że jestem bogata?—pytała nieraz Jenny sama siebie, wracając z wieczornych przechadzek nad morzem, podczas których młody malarz ciepłem spojrzenia, brzmieniem niskiego, pełnego, łagodnie modulowanego głosu, grą słów, przerywanych często w połowie zdania, zdawał się mówić:

— Kocham, kocham ciebie!

Rozkołysana uczuciem, jakiego dotąd nie doznawała, zasypiała, marząc słodko. Wargi jej szeptały:

— Emil, Emil, Emil!

Sen był dalszym ciągiem rzeczywistości. Jak na jawie, słyszała wyraźnie głos Emila; czuła jego oddech, gdy pochylony nad nią, czytał książkę, którą trzymała. Jak na jawie, błękit jego oczów upajał ją.

Wstawała odurzona, tęskniąc za nim, pragnąc zobaczyć go jaknajprędzej.

Jeżeli natrętny głos wewnętrzny zapytał wówczas:

— Czy on wie, żeś ty bogata? — płakała, czując się bardzo, bardzo nieszczęśliwą. Całym wysiłkiem woli jednak tłumiła w sobie złowróbnę pytanie, nie chcąc szukać dla niego odpowiedzi, postanawiając żyć upojeniem, złudzeniami, z którymi jej było dobrze.

Sześć tygodni pobytu nad morzem upłynęło, jak jedno jasne południe. Czas odjazdu nadchodził.

Wiliją dnia, w którym Jenny miała rozłączyć się z Emilem, chodząc, jak zwykle, wzdłuż wybrzeża w towarzystwie młodego malarza, prowadziła jedną z tych rozmów, w których smutek rwie słowa, nie pozwalając im zespolić się w jednolite, zaokrąglone zdania.

Emil skarżył się na przykry sen, jaki miał w nocy. Słyszał wyraźnie głos jakiegoś człowieka, który wołał, że jest jego przeznaczeniem i wskazywał mu otwartą przepaść, mówiąc, by w nią wskoczył. On chciał oprzeć się jego żądaniu. Wówczas tajemniczy człowiek jednym palcem pchnął go w ciemną głębię, nad którą kołysało się stado mew, zakreślając koła i łuki w powietrzu.

Jenny pocieszała Emila, dowodząc:

— Złe sny wróżbiarze zwykli tłómaczyć na dobre...

On patrzył na nią, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Tyś mojem przeznaczeniem; od ciebie zawisło zło i dobro mego życia...

Chodzili wzdłuż wybrzeża. Skrzące się w słońcu zielonkawę fale podmywały im stopy. Zaczęli mówić o miłości, którą Emil porównywał do tęczyowych niteczek, podtrzymujących pajęczą swą siecią wiązania brudnoszarej wstęgi życia...

Naraz Jenny stanęła. Patrząc w głębokie, smutne oczy towarzysza, rzekła:

— Panna bogata nie może marzyć o szczęściu miłości. Czy ktokolwiek i kiedykolwiek zdoła ją przekonać, że dał jej serce za serce, nie zaś w zamian za cyfry sum jej majątku?

On odpowiedział na to:

— Nie zgadzam się z panią: istnieją sposoby, któremi najbogatszą dziedziczkę co do uczuć swych upewnić można.

Nigdy nie był tak śmiałym względem Jenny, jak tego wieczora. Żegnając ją, żądał, aby pozwoliła mu złożyć pocałunek na białej swej miękkiej rączce, której dotąd nie dotknął ustami ani razu. Trzymając rączkę tę w swoich, długo nie chciał jej puścić. Wargi mu drżały; oczy mówiły:

— Jenny, kocham, uwielbiam ciebie!

Ona miała ochotę zarzucić mu ręce na szy-

P. Rog. w Pet. Na propozycję „Zorza“ zgadza się, 1 rs. przesyłamy jej. Z przysłanych pieniędzy zaliczyliśmy nadwyżkę 75 kop. na „Głos“ w kw. III.

P. Cz. Smol. w Suw. „Inst. Polit.“ 2 z-ty (z przes. 1 rs. 17 kop.) wysłaliśmy, do prenumeraty więc półrocznej brak 2 rs. 67 kop.

P. Skrzyp. w Ejr. Żądane książeczki wysłaliśmy; cena ich (stosownie do warunków wymienionych w ogłoszeniu) 1 rs. 93 kop. Pozostaje więc na „Głos“ w kw. III 77 kop.

Czyt. Akad. w Akwizgran. Żądane książki wysłaliśmy; cena ich: „Gawędy ekon.“ 30 kop., „Przewod. wychowania“ 2 rs. 40 kop., przesyłka 27 kop.; razem 2 rs. 97 kop. Stosownego elementarza, o jaki Sz. PP. zapytują, nie znamy.

P. J. Solom. w Kam. Pod. Nr. 14 „Głosu“, oraz książki wysłaliśmy: „Nowelle“ Dygasińskiego 2 rs., „Pamiętniki Paska“ 1 rs. 50 kop., przesyłka 37 kop., razem 3 rs. 87 kop. Zatem do prenumeraty na kw. II brak 12 kop.

Pp. Jasionowskiemu w Pet. i J. Grodeckiemu w Kij. Ze-

szty I i II „Instyt. Polit.“ wysłaliśmy, cena ich wraz z przesyłką 1 rs. 17 kop.

P. Przeg. w Noworos. Oba listy otrzymaliśmy i na skutek pierwszego wysłaliśmy „W r. 2000“ wraz z dodat. powieśc. z 2-go n-ru „Głosu“. Czy jednak mamy zaprenumerować „Tyg. Mód“ na następne półrocze—prosimy o doniesienie. — Co do „Podręcznika higieny dla młodych mężatek“, to najlepszą jest — według złańia kompetentnych—książka d-ra Stelli Sawickiego.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Niecała
Nr 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia
Encyklopedia
Encyklopedia

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

Wyszedł z druku zeszyt XLIII.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe
pedagoga **Plato v. Reussnera**

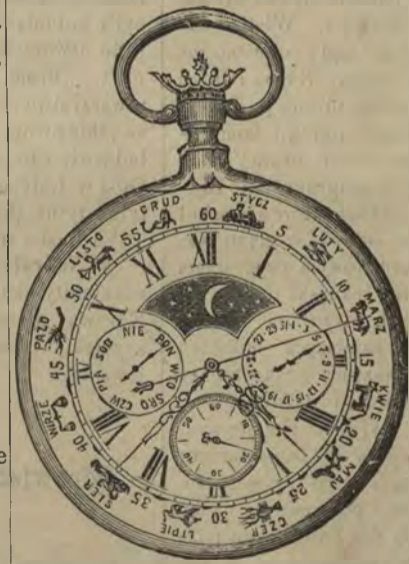
NAJLEPSZA METODA

do nauczania się bez Nauczyciela czytać
pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ech mie-
siącach, po angielsku w 24 lekcjach. Ce-
na metody niemieckiej kurs wyższy rs. 1 k. 60.
Komplet, t. j. kurs niższy i wyższy razem, tyl-
ko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs
niższy k. 75. **Najlepszy Elementarz Pol-
sko-Niemiecki i Rusko-Niemiecki** z wy-
mową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop.
35, 30, 20 i 10 (oprawny kop. 45). **Najnowszy
Elementarz Polski** z 20—40 wzorkami pisma,
rysunków i rycinami (obrazkami) razem
340 Figur, tudzież ze wskazówkami pedago-
gicznymi k. 25, 20, 15, 10 i 5. **Powiatki Pol-
sko-Niemieckie** 20 kop. **Powieść Ali-Baba**
i **40 zbrojców** 15 k. **Myśliwi Giemz**, po-
wieść 10 k. Na przesyłkę pocztową dopłaca się
do każdego rubla po k. 20.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica
Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

**Dzwonki elektryczne, Telefo-
ny, Pirotechnika, Ochronniki przed kra-
dzieżą**, według najświetniejszej konstruk-
cji, urządza w mieście i na prowinc-
ji pod gwarancją i najtaniej zakład
optyczno-elektryczny **Juljana Drechera**
(Szpitalna Nr. 6). Tamże wielki wybór
**Okularów, Binokli, Lornetek, Termometrów,
Narzędzi chirurgicznych, drutów, ele-
mentów, przycisków i t. p. PP. mecha-
nikom stosowny rabat. Przyjmuje re-
perację.**

DYWANY, wszelkie pokrycia
meblowe, Kołdry,
Kapy, Chodniki,
Serwety, najlepiej kupować w głów-
nym składzie **Giełżyńskiego**, Mar-
szałkowska 137.



GENEWSKIE ZEGARKI

złote, srebrne, stalowe i niklowe poleca w wiel-
kim wyborze i najtaniej od rs. 5 kop. 50.

Przyjmuje wszelką reperację.

Gwarancja dwuletnia.

F. SZYMANIEWSKI

ZEGARMISTRZ

ulica Nowy Świat Nr. 39.

S. PRZEZDZIECKI

Ceny
umiarkowane
Wybór
materiałów.

Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej.
SPECYALNY MAGAZYN
UBIORÓW DZIECIENNYCH

Mandary, Szynele i Bluzy dla uczniów.
Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej.

DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



EXSICCATOR.

**Niszczy grzybek drzewny
i osusza wilgoć raz na za-
wsze i t. p.**

Broszurkę, niezbędną dla
każdego budującego wyśłam
franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. **G. RITTER**
Królewska Nr. 39.

Wydawnictwa „Głosu“

KWESTYJONARYJUSZ

W sprawie czytelnictwa ludowego
napisali

A. Potocki i Z. Wasilewski

Warszawa 1890 r., str. 24 w 16-ce

Cena 10 kop.

CO I JAK LUD NASZ CZYTA?

Kwestyjonyusz w sprawie wydawnictw ludowych
przez

M. BRZEZIŃSKIEGO.

Warszawa 1890, str. 16 w 16-ce

Cena 5 kop.